

Doris Lessing



Zbiór najlepszych opowiadań brytyjskiej noblistki

Czarna Madonna

Są kraje, o których nie da się powiedzieć, że kwitną tam sztuki piękne, o Sztuce przez duże „S” już nie wspominając. Dlaczego tak się dzieje, trudno orzec, chociaż, rzecz jasna, wszyscy mamy na ten temat swoje własne teorie. Bywa jednak, że na najbardziej nawet jałowej glebie plenią się całe ogrody tych kwiatów, które zgodnie uznajemy za ukoronowanie i usprawiedliwienie życia, ale dlaczego padło akurat na prowincję Zambézia, trudno wytłumaczyć.

Zambézia to dzika, palona słońcem, męska, bezwzględna kraina w pogardzie mająca subtelności i wrażliwość. Owszem, są kraje o podobnych cechach, gdzie sztuka, może nie najwyższego lotu, ale jednak też się rodzi, lecz Zambézia jest, łagodnie mówiąc, niechętna ideom takim jak wolność, solidarność i co tam jeszcze, od dawna przyjmowanym za normę w innych częściach świata. Są jednak tacy, a wśród nich wiele wybitnych osobistości, którzy utrzymują, że sztuka nie ma racji bytu w społeczeństwach, w których pewnej mniejszości czasu wolnego nie gwarantuje ciężko pracująca większość. A jeśli zambeziańskiej mniejszości

nawet czegoś nie dostaje, to na pewno nie wolnego czasu.

Zambézia... ale dosyć już o niej; z szacunku dla samych siebie oraz dla naukowej rzetelności powinniśmy się powstrzymać od wyciągania pochopnych wniosków. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę prawie nabożny szacunek, jaki okazują Zambeziańczycy każdemu artyście, któremu zdarzy się wśród nich pojawić.

Weźmy, na przykład, takiego Michele.

Wyszedł z obozu dla internowanych po uznaniu Włoch pod koniec drugiej wojny światowej za honorowego alianta. Był to dla władz trudny okres, bo co innego trzymać za drutami tysiące jeńców wojennych i traktować ich według określonych standardów, a co innego, gdy te same tysiące w wyniku jakiegoś międzynarodowego szacher-macher stają się z dnia na dzień towarzyszami broni i rozpraszają się po kraju. Część z tych tysięcy pozostała w swoich obozach. Mieli tam przynajmniej wikt i dach nad głową. Część starała się znaleźć zatrudnienie na farmach, lecz niewielu się to udawało, gdyż farmerzy, chociaż jak zawsze brakowało im rąk do pracy, nie wiedzieli, jak postępować z robotnikami, którzy też są biali: w prowincji Zambézia po raz pierwszy w dziejach doszło do takiej bezprecedensowej sytuacji. Część miała się rozmaitych dorywczych zajęć, gnębiona przez związki zawodowe, które z jednej strony odmawiały im prawa do legalnej pracy, z drugiej nie chciały przyjąć w swoje szeregi.

Trudno, oj trudno było tym ludziom, ale na szczęście nie trwało to długo, bo wkrótce wojna się skończyła i mogli wracać do kraju.

Urwanie głowy miały też z nimi władze, które, żeby powetować sobie cały ten ambaras, starały się coś na nim,

choćby symbolicznie, ugrać; i owocem tych starań był bez wątpienia Michele.

Jego talent zauważono, kiedy był jeszcze jeńcem wojennym. Otóż w obozie wybudowano kościółek i Michele ozdabiał jego wnętrze. Ów niewielki, kryty ocynkowaną blachą budynek o bielonych ścianach, pokrytych od góry do dołu freskami przedstawiającymi ogorzałych wieśniaków przy winobranii, urodziwe tańczące Włoszki, pulchne czarnookie bobasy, stał się szybko miejscową atrakcją. Pośród barwnych scenek rodzajowych z włoskiego życia codziennego poczesne miejsce zajmowała uśmiechnięta dobrotliwie Dziewica z Dzieciątkiem, wyraźnie wniebowzięta, że znalazła się w takim pocziwym towarzystwie.

Koneserki sztuki, które przekupywały władze, żeby dostać się na teren obozu, mówiły: „Biedaczek, jakże on musi tęsknić za domem”. I błagały, żeby pozwolono im zostawić choć z pół korony dla artysty. Znaleźli się jednak i tacy, którzy nie kryli oburzenia. Mimo wszystko człowiek ten był jeńcem pojmanym do niewoli na gorącym uczynku czynnej napaści na sprawiedliwość i demokrację, a więc nie miał prawa protestować — bo w ich odczuciu te malunki stanowiły formę protestu. Co takiego jest we Włoszech, czego nie mielibyśmy w Westonville, które jest sercem prowincji? Czyż nie ma tu słońca, gór, pulchnych dzieciaczków i ładnych dziewcząt? Czyż my nie uprawiamy na masową skalę... no, może nie winogron... ale cytryny, pomarańcze i kwiaty to już na pewno.

Ludzie byli rozdarci — z pokrytych malowidłami ścian skromnego kościółka biła nostalgia, która w różnym stopniu, zależnie od temperamentu, udzielała się każdemu.

Kiedy Michele wyszedł na wolność, przypomniano sobie o jego talencie. Nazywano go „tym włoskim artystą”. Tak naprawdę, to był z zawodu murarzem i artystyczna wartość jego dzieła pozostawiała co nieco do życzenia. Niewykluczone, że widział podobne freski w jakimś kraju, gdzie malowanie po ścianach jest bardziej rozpowszechnione, i zwyczajnie z pamięci je skopiował.

Gdy jedna z jego wielbicielek przyjechała samochodem do obozu i poprosiła, żeby namalował portrety jej dzieci, odparł, że nie ma do tego kwalifikacji. W końcu jednak się zgodził. Wynajął pokój w mieście i namalował portrety, na których dzieci były do siebie nawet z grubsza podobne. Potem malował portrety dzieci wielu przyjaciółek tej pierwszej damy. Brał po dziesięć szylingów od sztuki. Pewnego razu jedna z dam zażyczyła sobie, żeby ją sportretował. Za tę usługę zażądał dziesięciu funtów; mozolił się przy sztaludze bity miesiąc. Klientka trochę wybrzydzała, ale zapłaciła.

Odebrawszy honorarium, Michele zamknął się z kolegą w swoim pokoju, gdzie przy czerwonym winie z Cape wspominali ojczyznę. Nie dał się namówić na malowanie kolejnych portretów, dopóki nie skończyły mu się pieniądze.

Panie z towarzystwa poruszały często między sobą temat godności pracy; dobrze się w nim czuły i można było odnieść wrażenie, że gotowe są posunąć się nawet do porównania białego z Kafrem, który o godności pracy nie ma przecież pojęcia.

Michele czuł się niedowartościowany. Jedna z dam wytropiła go w obozie, leżącego na pryczy pod drzewem z butelką wina, wygarnęła mu, co myśli o barbarzyństwie Mussoliniego i przereklamowanym włoskim temperamentem,

po czym zażądała, żeby namalował ją bezzwłocznie w nowej wieczorowej sukni. Spotkała się z odmową i odjechała bardzo rozsierdzona.

Tak się złożyło, że była żoną bardzo ważnej osoby, generała albo kogoś w tym rodzaju, kto właśnie zajmował się planowaniem jakiejś wojskowej imprezy czy też nocnego pokazu dla ludności cywilnej. Całe Westonville od tygodni żyło tym wydarzeniem. Byliśmy już śmiertelnie znudzeni różnymi potańcówkami, balami, jarmarkami, loteriami charytatywnymi i podobnymi rozrywkami. Nie będzie przesadą powiedzieć, że gdy jedni umierali za wolność, inni ją sobie wytańcowywali. No, ale wszystko kiedyś się kończy. Kiedy więc skończyła się wojna i tysiące żołnierzy stacjonujących w naszym kraju musiało wracać do domów — krótko mówiąc, gdy zabawa przestała być obywatelskim obowiązkiem — wielu wykrzykiwało, że życie już nigdy nie będzie takie samo.

Tymczasem czekaliśmy z utęsknieniem na pokaz, bo to miała być dla nas wszystkich jakaś odmiana. Wojskowi odpowiedzialni za organizację przedsięwzięcia nie myśleli o nim w tych kategoriach. Oni chcieli podbudować morale społeczeństwa, uzmysławiając mu, czym naprawdę jest wojna. Nagłówki w gazetach nie wystarczały. Żeby nam to w jak najprzystępniejszej formie przybliżyć, umyślili sobie zniszczyć na naszych oczach ogniem artyleryjskim całą wioskę.

Najsamprzód wioskę należało wybudować.

Generał ze swoimi podwładnymi stał w tumanach czerwonego kurzu na skraju placu apelowego otoczony stosami materiałów budowlanych, a po placu uwijali się afrykańscy robotnicy z deskami, młotkami i gwoździami, i

usiłowali sklecić coś na podobieństwo wioski. Nie ulegało już wątpliwości, że pieniądze przeznaczonych na pokaz nie starczy na zbudowanie wioski z prawdziwego zdarzenia, tym bardziej że w grę wchodziły jeszcze koszty późniejszego zrównania jej z ziemią. Generał wrócił do domu w bardzo złym humorze. Żona zasugerowała mu, że powinien zaprosić do współpracy jakiegoś artystę, a najlepiej Michele. Nie zaproponowała tego z myślą o załatwieniu Michele dobrej chałtury, bynajmniej, po prostu denerwowało ją, że on wyleguje się tam pod drzewem i śpiewa, a tu roboty huk. Kiedy mąż oznajmił, że za cholere nie będzie się prosił łaski jakiegoś zasranego jeńca, nie naciskała. Załatwiła sprawę po swojemu; na negocjacje z Michele wysłany został niejaki kapitan Stocker.

Kapitan zastał go na tej samej obozowej pryczy, pod tym samym drzewem, w spodniach z podwiniętymi nogawkami, nieogolonego, podchmielonego, ze stojącą obok na ziemi butelką wina. Śpiewał tak smętnie, tak żałośnie, że kapitan poczuł się jakoś niewyraźnie. Skrępowany zatrzymał się dziesięć kroków od delikwenta. Jeszcze rok temu człowiek ten był śmiertelnym wrogiem, którego należałoby zastrzelić bez ostrzeżenia. Przed sześcioma miesiącami był jeńcem wojennym. Teraz leży sobie z podciągniętymi kolanami, w brudnej wygniecionej koszuli, która swego czasu z pewnością była wojskowa. Kapitana oburzało, że Michele dotąd mu nie zasalutował.

— Piselli! — warknął.

Michele obrócił głowę i spojrzał sennie na Kapitana z pozycji horyzontalnej.

— Dzień dobry — wymruczał grzecznie.

— Wzywają cię — burknął kapitan.

— Kto? — spytał Michele, siadając. Był pulchnym, oliwkowoskórym, niskim mężczyzną, popatrywał na kapitana spode łba.

— Zwierzchność.

— Co, wojna się skończyła?

Kapitan, który już gotował się cały pod świeżo wypranym mundurem khaki, ściągnął brwi i odrzucił w tył głowę, wystawiając podbródek. Był postawnym blondynem o ceglastoczerwonej karnacji. Oczka miał małe, niebieskie i zagniewane. Dłonie rąk opuszczonych po bokach — czerwone, pokryte rzadką żółtą szczecina — zaciskał w pięści. Rozprostował je, kiedy dostrzegł w oczach Michele zawód.

— Nie, jeszcze się nie skończyła — mruknął. — Potrzebna nam twoja pomoc.

— Na froncie?

— Nie, tu, na tyłach. Chyba zależy ci na pokonaniu Niemców?

Michele spojrzał uważnie małymi, czarnymi oczkami artysty na kapitana. Zobaczył zwalistego blondyna o zimnych niebieskich oczach, wąskich ustach i dłoniach jak porośnięte szczecina steki.

— Bardzo mi zależy na zakończeniu tej wojny — odparł.

— To jak będzie? — wycedził przez zaciśnięte zęby kapitan.

— Za ile?

— Stratny nie będziesz.

Michele wstał z pryczy. Schylił się po butelkę, spojrzał na nią pod słońce i pociągnął tęgi łyk. Przeplukał winem usta i splunął. To, co zostało na dnie, wylał na czerwoną ziemię i patrzył przez chwilę na purpurową, puszącą się bąbelkami

kałużę.

— Jestem do dyspozycji — powiedział i poszedł za kapitanem do czekającej ciężarówki. Zamiast wdrapać się na pakę, czego oczekiwał kapitan, wszedł do kabiny obok kierowcy. Kiedy zajechali na plac apelowy, kapitana poinformowano, że decyzją wyższych rangą oficerów jest od tej pory osobiście odpowiedzialny za Michele i za wioskę. Jak również za dobrą setkę robotników, którzy siedzieli na trawie i czekali na instrukcje.

Kapitan wyjaśnił Michele, o co chodzi. Michele kiwnął głową i zamachał na Afrykanów.

— Oni nie są mi potrzebni — oświadczył.

— Sam ją zbudujesz... wioskę, znaczy?

— Tak.

— Bez niczyjej pomocy?

Michele po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Dam radę.

Kapitan zawahał się. Uważał, że ciężka fizyczna praca to niestosowne zajęcie dla białego mężczyzny.

— Przydzielę ci sześciu do najcięższych robót — powiedział.

Michele wzruszył ramionami; kapitan wybrał spośród Afrykanów szóstkę, a resztę odprawił. Z tą szóstką wrócił do Michele.

— Gorąco — zauważył Michele.

— Bardzo — przyznał kapitan. Stali pośrodku placu apelowego. Wokół niego drzewa, trawa, sadzawki cienia. Tutaj nic, tylko czerwony snujący się pył unoszony przez wiejący nisko przy ziemi wiaterek.

— Pić mi się chce — powiedział Michele. I uśmiechnął się znacząco. Wąskie usta kapitana też rozciągnęły się w

bezwiednym uśmiechu. Ich oczy się spotkały. Coś między nimi zaiskrzyło. Kapitan ni stąd, ni zowąd zobaczył nagle w tym małym Włochu człowieka.

— Coś zorganizuję — mruknął i pojechał do miasta.

Kiedy wyjaśnił wreszcie komu trzeba sytuację, wypełnił odpowiednie formularze i poczynił stosowne kroki, było już późne popołudnie. Wrócił na plac apelowy z kartonem brandy Cape i zastał Michele siedzącego z sześcioma przydzielonymi mu czarnuchami pod drzewem. Michele śpiewał im włoską pieśń, a oni mu wtórowali. Na ten widok kapitanowi zrobiło się niedobrze. Podszedł do nich. Afrykanie stanęli na baczność. Michele dalej siedział.

— Mówiłeś, że sam dasz radę?

— Zgadza się, mówiłem.

Kapitan odprawił Afrykanów. Odeszli, rzucając Michele przyjazne spojrzenia, on pomachał im ręką. Kapitan gotował się ze złości.

— Jeszcze nawet nie zacząłeś.

— A ile mam czasu?

— Trzy tygodnie.

— O, to od groma — rzekł Michele, spoglądając pożądliwie na butelkę brandy w rękę kapitana. I na dwie szklaneczki w drugiej. — Wieczór już — zauważył.

Kapitan marszczył jeszcze przez chwilę brwi, potem usiadł na trawie i rozlał brandy do szklaneczek.

— *Ciao* — powiedział Michele.

— *Cheers* — powiedział kapitan. Trzy tygodnie, pomyślał. Trzy tygodnie z tym cholernym makaroniarskim konusem! Wychylił szklaneczkę, napełnił ją ponownie i postawił na trawie. Trawa była chłodna i miękka. Wiatr przynosił aromat kwitnącego gdzieś w pobliżu drzewa.

— Ładnie tutaj — westchnął Michele. — Życie nie umierać. Nawet w wojenny czas zdarza się człowiekowi poczuć błogo. I z kimś zaprzyjaźnić. Będę zaprawiał się do końca wojny.

Następnego dnia kapitan zjawił się na placu apelowym dopiero po lunchu. Został tam Michele z butelką pod drzewem. W narożu placu stały na sztorc arkusze dykty imitujące dwie ściany i kawałek trzeciej, przykryte podpartym belkami fragmentem dwuspadowego strome go dachu.

— Co to ma być?! — spieniał się kapitan.

— Kościół — wyjaśnił Michele.

— Co-ooo?

— W budowie. Co nagle to po diable. Uff, jak gorąco. — Michele zerknął znacząco na pustą butelkę po brandy, która wałała się obok niego w trawie.

Kapitan poszedł do ciężarówki i wrócił z kolejnym kartonem brandy. Pili. Czas płynął. Wiele go upłynęło, od kiedy kapitan usiadł na trawie pod drzewem. Jeśli o ścisłość chodzi, to wiele go upłynęło, od kiedy ostatnio tak dużo pił. Zawsze lubił wypić, ale nie tak bez okazji. Był człowiekiem zdyscyplinowanym. Teraz, siedząc na trawie obok tego niewyrośniętego makaroniarza, którego mimo wszystko nadal uważał za wroga, również zachowywał samodyscyplinę, czuł się tylko jakby inaczej: czasowo zawieszał swoje zasady. Michele się nie liczył. Kapitan słuchał jego opowieści o Włoszech z wrażeniem, że słucha jakiegoś dzikusa: zupełnie jakby ktoś mu bajdurzył o jakichś legendarnych wyspach na Morzach Południowych, gdzie człowiek taki jak on może trafić raz i tylko raz w swoim życiu. Wyrwało mu się, że po wojnie chętnie

odwiedziłby Włochy. Tak naprawdę to pociągała go tylko Północ i narody Północy. Był w Niemczech już pod rządami Hitlera i bardzo mu się tam podobało. Później Michele zaśpiewał mu kilka włoskich pieśni. On Michele parę angielskich. Potem Michele pokazał mu zdjęcia żony i dzieci mieszkających w jakiejś wiosce na północy Włoch. Zapytał kapitana, czy jest żonaty. Kapitan nie miał w zwyczaju zwierzać się ze swoich osobistych spraw.

Całe swoje życie zawodowe przepracował w takiej czy innej afrykańskiej kolonii, a to jako policjant, a to urzędnik magistracki, a to komisarz do spraw krajowców albo pracownik jakiejś innej instytucji użyteczności publicznej. Kiedy wybuchła wojna, bez trudu przestawił się na wojskowy dryl. Nie cierpiał jednak miejskiego życia i miał swoje własne powody, by z utęsknieniem wyczekiwać końca wojny. Przeważnie pełnił służbę na posterunkach w buszu, z dala od cywilizacji, z jednym, dwoma białymi towarzyszami, bywało, że i w pojedynkę. Miewał okoliczności z tubylkami; i od czasu do czasu odwiedzał miasto, w którym ze swoimi rodzicami i jego dziećmi mieszkała żona. Dręczyła go nieustannie myśl, że ona nie jest mu wierna. Wynajął nawet ostatnio prywatnego detektywa, żeby ją śledził, i miał coraz większe obiekcje co do rzetelności faceta. Koledzy z wojska pochodzący z L., gdzie mieszkała żona, opowiadali o hucznych imprezach, w których uczestniczyła. Z końcem wojny skończy się, oj skończy to imprezowanie. A dlaczego zwyczajnie z nią nie zamieszkał, żeby mieć sytuację pod kontrolą? Po prostu nie mógł. Długie banicje na posterunkach w głębokim buszu stanowiły jedynie pretekst, żeby uwolnić się od jej towarzystwa. Samo myślenie o żonie wprawiało go w przygnębienie; uosabiała tę część jego życia, z którą

nie potrafił, jak to się mówi, dojść do ładu.

Ale teraz opowiedział Michele i o niej, i o swojej buszkochanicy imieniem Nadya, która najlepiej mu dogadzała. Opowiedział Michele historię swojego życia. Cienie drzew, pod którymi siedzieli, wydłużyły się tymczasem aż po trybunę po drugiej stronie placu apelowego. Kapitan podźwignął się wtedy z ziemi i chwiejąc się lekko na nogach, powiedział:

— My tu gadu-gadu, a robota stoi. Masz płacone, to się wywiązuj.

— Pokażę ci mój kościółek, jak się ściemni.

Zaszło słońce, zapadł zmierzch i Michele kazał kapitanowi wjechać ciężarówką na środek placu apelowego i włączyć na całą moc reflektory. O dziwo, w ich blasku z zarysów chaotycznie na pozór wbitych w ziemię kawałków desek i arkuszy dykty oraz z ich cieni zmaterializował się biały kościółek.

— Jutro przybędzie parę domków — zapowiedział wesoło Michele.

Pod koniec tygodnia ćwierć placu apelowego zagracał galimatias koślawych konstrukcji z dykty i desek, w którym za dnia nie sposób się było dopatrzeć jakiegokolwiek podobieństwa do czegośkolwiek. Kapitan zagotował się w duchu ze złości; nie, nikt go nie przekona, że gra światłocieni zdoła wyczarować z tego szkieletowego bajzlu wioskę. Podjechał w nocy ciężarówką, włączył długie światła i ujrzał wioskę, najprawdziwszą wioskę rysującą się na tle zielonych drzew. Rano w tym samym miejscu zastał tylko płataninę desek powbijanych bez ładu i składu w piasek.

— Skończyłem — oświadczył Michele.

— Zostałeś zatrudniony na trzy tygodnie — przypomniał

mu kapitan. Polubił tego ekscentrycznego Włocha i żał mu się było z nim rozstawać.

Michele wzruszył ramionami.

— Wojsko jest bogate — mruknął.

Teraz, żeby nie rzucać się w oczy, siadywali z kartonem brandy w cieniu kościółka. Kapitan opowiadał o swojej żonie, o kobietach. Mógł tak bez końca.

Michele słuchał cierpliwie. Pewnego razu wtrącił:

— Jak wrócę do domu... jak wrócę do domu... otworzę ramiona... — Tu rozpostarł je szeroko i zamknął oczy. Łzy popłynęły mu po policzkach. — I wyściskam żonę. O nic nie będę pytał, o nic. Nie chcę niczego wiedzieć. Wystarczy mi, że jesteście ze sobą. Tęgo właśnie nauczyła mnie wojna. To wystarczy, w zupełności wystarczy. Nie będę zadawał żadnych pytań i będę szczęśliwy.

Kapitan patrzył przed siebie i było mu źle na duszy. On bał się swojej żony. Była złośliwa, rozwiązała i bezwzględna. Szydziła z niego. Szydziła, od kiedy się pobrali. Od wybuchu wojny nazywała go ironicznie Małym Hitlerkiem albo Cichociemniaczkiem.

— Rób tak dalej, mój mały Hitlerku! — wykrzyczała, gdy ostatnio się widzieli. — Rób tak dalej, mój Cichociemniaczku. Rób tak dalej, jeśli nie szkoda ci pieniędzy na prywatnych detektywów. Ale niech ci się nie wydaje, że nie wiem, co ty tam wyprawiasz w buszu. Nie obchodzi mnie, co robisz, ale wiedz, że ja to wiem...

Kapitan wspominał tamten dzień. A Michele, siedząc na kartonie po brandy, ciągnął:

— Detektywi i prawo, przyjacielu, to fanaberie dla bogatych. Nawet zazdrość jest fanaberią, która mi się już przejadła. Och, przyjacielu, być znowu z żoną i dziećmi,

niczego innego od życia nie wymagam. No, może jeszcze pod dostatkiem wina, pełnego żołądka i śpiewania wieczorami. — Łzy skapywały mu z policzków na koszulę.

Wielkie nieba, płaczący mężczyzna! — pomyślał kapitan. — I nie wstydzi się tego! — Sięgnął po butelkę i pociągnął spory łyk.

Trzy dni przed wielkim kulturalnym wydarzeniem przez zakurzony plac apelowy przemaszerowała komisja złożona z kilku wyższej rangi oficerów. Zastali Michele i kapitana siedzących na kartonie po brandy i rozśpiewanych. Kapitan koszulę miał rozpiętą i poplamioną.

Na widok komisji zerwał się, przyjął postawę zasadniczą i zasalutował niedopitą butelką. Michele, z solidarności wobec przyjaciela, też stanął na baczość. Oficerowie odciągnęli kapitana na stronę — szczęściem wszyscy byli jego dobrymi kumplami — i zapytali, z czym się, u diabła, na rozum zamienił. I dlaczego wioska jeszcze niegotowa?

Potem sobie poszli.

— Powiedz im, że jest gotowa — obruszył się Michele. — I powiedz jeszcze, że makaroniarz zrobił swoje i teraz makaroniarz chce odejść.

— Nie — wymamrotał kapitan — o, nie. Co byś zrobił, Michele, gdyby twoja żona...

— Ten świat nie jest taki zły. Powinniśmy tu być szczęśliwi... nic dodać, nic ująć.

— Michele...

— Chcę odejść. Tutaj nie mam już nic do roboty. Wczoraj mi zapłacili.

— Siadaj, Michele. Jeszcze trzy dni, i będziesz wolny.

— No to wymaluję kościółek od środka, tak jak wymalowałem tamten w obozie.

Kapitan położył się na jakichś deskach i zasnął. Obudziwszy się, zobaczył Michele w otoczeniu puszek z resztkami farb, których używał do malowania wioski. Przed kapitanem stał portret czarnej dziewczyny. Była młoda i przy kości, ubrana we wzorzystą niebieską sukienkę odsłaniającą pulchne, nagie ramiona. Na plecach, w sporządzonym z czerwonej chusty nosidełku, dźwigała dziecko. Patrzyła z uśmiechem na kapitana.

— Toż to Nadya — wykrztusił kapitan. — Nadya jak żywa... — Zajęczał głośno, spojrział na czarne dziecko i mocno zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, czarna matka ze swoim dzieciątkiem nadal tam była. A Michele domalowywał im nad głowami cienkie, żółte aureole.

— Bój się Boga! — zachnął się kapitan. — Tak nie można.

— Niby dlaczego?

— Madonna nie była czarna.

— Była wieśniaczką. Ona też jest wieśniaczką. Czarna wieśniaczka, Madonna dla czarnego kraju.

— To niemiecka wioska — powiedział kapitan.

— A to moja Madonna — odparował gniewnie Michele. — Twoja niemiecka wioska, moja Madonna. Namalowałem ten obraz w ofierze dla Madonny. Podoba jej się, czuję to.

Kapitan znowu się położył. Było mu niedobrze. Szybko z powrotem odpłynął w sen. Gdy ponownie się obudził, było już ciemno. Michele w blasku parafinowej lampy malował długą ścianę. Obok niego stała butelka brandy. Kiedy skończył, było już grubo po północy, a kapitan przez cały ten czas leżał na boku i patrzył beznamiętnie, jak ktoś, kogo dręczy senny koszmar. Potem ułożyli się do snu na deskach. Przez cały następny dzień Michele malował czarne Madonny,

czarnych świętych i czarne anioły. Na placu apelowym ćwiczyli musztrę żołnierze, grały orkiestry dęte, trenowali motocykliści. Ale Michele, pijany i głuchy na wszystko, malował. Kapitan leżał na wznak, pociągał z butelki i mamrotał coś o swojej żonie. W pewnej chwili zakrzyknął „Nadya, Nadya!” i zaniósł się szlochem.

Pod wieczór żołnierze odmaszerowali. Wrócili za to oficerowie i kapitan zademonstrował im, jak po zapaleniu silnych reflektorów budzi się do życia wioska. Patrzyli w milczeniu. Zgasili reflektory i w księżycowej poświacie wioska zdegradowała się do poprzecyłanych płyt dykty i desek przywodzących na myśl nagrobki na dawno zapomnianym cmentarzu. Reflektory znowu zabłyśły — i znowu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się wioska. Milczeli skonsternowani, coś tu było nie tak. Chyba, podobnie jak z początku kapitan, podejrzewali, że ktoś tu próbuje robić ich w konia. Efektowne, bez dwóch zdań, ale co myśleć o takim hokus-pokus. Na dokładkę bardzo deprymującym.

— Zmyślny gość z tego twojego Włocha — mruknął generał.

Kapitan, który do tej chwili zachowywał pion i służbistą postawę, podszedł teraz chwiejnym krokiem do generała i dla utrzymania równowagi położył przełożonemu dłoń na ramieniu.

— Chrzanię jeńców wojennych — wybełkotał. — Chrzanię Kafrow. Chrzanię... Ale wiesz co, stary? Jest taki jeden Italianiec, o którym nie da się złęgo słowa powiedzieć. Tak, tak, jest taki, ja ci to mówię, chłopie. Bo tak się składa, że to mój przyjaciel.

Generał popatrzył na niego, potem dał znak głową swoim

podwładnym. Kapitana odprowadzono w celu wymierzenia mu kary dyscyplinarnej. Jednak po przeanalizowaniu całego zajścia uznano, że przyczyną takiego zachowania nie mogło być nic innego, jak tylko jakaś chwilowa niewyjaśniona niedyspozycja. I położono go do łóżka w jego pokoju, a przy łóżku posadzono na wszelki wypadek pielęgniarkę.

Obudził się po dwudziestu czterech godzinach, po raz pierwszy od kilku tygodni trzeźwy. Powoli przypominał sobie, co się wydarzyło. A gdy już wszystko sobie przypomniał, zerwał się z łóżka jak oparzony i w mgnieniu oka się ubrał. Zanim pielęgniarka zdążyła zareagować, biegł już alejką do swojej ciężarówki.

Wskoczył za kierownicę, ruszył z kopyta i pomknął na plac apelowy. Plac był rzeświście oświetlony, ale w taki sposób, że wioska nie istniała. Wszystko zapięte na ostatni guzik, wokół placu samochody zaparkowane w trzech rzędach, ludzie siedzą na stopniach, niektórzy nawet na dachach, trybuna honorowa zapchana do ostatniego miejsca. Kobiety przebrane za Cyganki, za wieśniaczki, za damy z elżbietańskiego dworu i kogo tam jeszcze przechadzają się między publiką z tacami piwa imbirowego, bułeczek z kiełbasą, programów, a wszystko to po jedyne pięć szylingów sztuka na wsparcie wojennego wysiłku. Po placu biegali żołnierze, ciągnąc za sobą zabytkowe cekaemy, grała orkiestra dęta, motocykliści przejeżdżali z rykiem silników przez rozpalone ogniska.

Kiedy kapitan parkował ciężarówkę, cały ten harmider ustał i zgasło światło. Kapitan puścił się biegiem naokoło placu do miejsca, gdzie przykryte siatką maskującą, osłonięte gałęziami, stały armaty. Postękiwał z wysiłku. Był mężczyzną słusznej postury, nienawykłym do takiego